№ 37. 14. Września. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi co Sobotę 1 lub 1½ arkusza. Cena 4 Złr. m. k. rocznie dla Lwowa; 5. Złr. m. k. rocznie dla prowincji. Przyjmuje się także przedpłata kwartalna. Pieniądze przesełają się bezpłatnie wprost do *Redakcji we Lwowie pod l. 181 w mieście* wyraziwszy na kopercie: *Przedpłata na Tygodnik Lwowski.* Inseraty i ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuje redakcja za opłatą po *trzy kr. m. k.* od wiersza półstronnego za jednokrotne umieszczenie, po *dwa kr. m. k.* za każde powtórzenie. Dołączenia na osobnych kartkach przyjmują się za opłatą *trzech Złr. m. k.* od cwierćarkusza. Listy przyjmują się tylko frankowane, wyjąwszy od stałych lub znanych korespondentów. Jeżeli zaś który z nadesłanych artykułów wydrukowany zostanie, wtedy opłata pocztowa na żądanie zwrócona będzie. —

Uwiadomienie od Redakcji.

Od 1go Pazdziernika zaczyna się nowy kwartał Tygodnika Lwowskiego.

Zapraszając szanowną czytającą Publiczność do licznej przedpłaty zawiadamiamy iż, jak dotąd tak i nadal usiłowaniem naszem będzie pismo to uczynić nietylko nauczającem i ściśle literackiem ale oraz i rozrywce służącem.

Będziemy przeto umieszczać oprócz rozprawek, krytyk, szczególnie *powieści, poezje, korespondencje* o stósunkach towarzyskich i literackich w kraju lub za granicą, krytykę teatru, oraz pod rubryką: *Rozmaitości* różne drobne wiadomości o ciekawych odkryciach, anegdoty historyczne i t. p.

Przedpłatę przyjmuje się cwierćrocznie po 1 Złr. m. k. dla Lwowa, po 1 Złr. 15 kr. m. k. dla prowincji, (można także i teraz przedpłacać pół- lub całorocznie.)

Przesełki pieniężne prosimy adresować:

Do redakcji Tygodnika Lwowskiego pod Nr. 181 w mieście, z dodatkiem:

Przedpłata na Tygodnik Lwowski.

Inseraty i ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuje redakcja za opłatą po *trzy kr. m. k.* od wiersza półstronnego za jednokrotne umieszczenie, po *dwa kr. m. k.* za każde powtórzenie. Dołączenia na osobnych kartkach przyjmują się za opłatą *trzech Złr. m. k.* od cwierćarkusza. Listy przyjmują się tylko frankowane, wyjąwszy od stałych lub znanych korespondentów. Jeżeli zaś który z nadesłanych artykułów wydrukowany zostanie, wtedy opłata pocztowa na żądanie zwrócona będzie. —

Prawdziwa przyczyna obojętności dla piśmiennictwa i umnictwa.

Najświeższy *Dodatek literacki do Czasu* zawiera korespondencję ze Lwowa, ubolewającą nad obojętnością naszej publiczności dla krajowego piśmiennictwa. Pojawienie się tej korespondencji równocześnie prawie z artykułem *Z. Kaczkowskiego* w ostatnim numerze naszego pisma (*O trudności porozumienia się u nas*); prócz tego inne symptomata zauważone w obecnym czasie, każą nam się domniemywać, że przynajmniej niektórzy z krajowców zaczynają być czułymi na brak ruchu umysłowego u nas.

Skargi na obojętność dla pismiennictwa u nas nie są swieże. Poprzedziły one wskrzeszenie pismiennictwa naszego między r. 1815 i 1820 i odtąd towarzyszyły ciągle wzrostowi tegoż. Że się zaczęto krzątać około piśmiennictwa po półwiekowym prawie letargu tegoż (od czasu podziału), to był znak postąpienia w oświacie, znak obudzonej potrzeby samorodnego kształcenia się.

Ludzie pióra zaczęli uważać pisanie za powinność względem narodu, czytający zaś za obowiązek czytanie *polskich* pism, choćby dla żadnej innej przyczyny jak tylko że są polskie.

Któż jednak byli ci czytający?

Byłato najwięcej szlachta, nieco mieszczan i niektórzy urzędnicy — a zatem ludzie średniej zamożności, średniego znaczenia: na tak zw. magnatów t. j. bogatszą i większe znaczenie w życiu towarzyskiem mającą szlachtę skarżono się zawsze, iż woli czytać po francuzku niż po polsku, czyli raczej kupować francuzkie książki niż polskie. Jednakże i ci *wspierali* piśmiennictwo, tj. kupowali polskie książki, dawali na druk tychże, albo z prawdziwego patrjotyzmu, albo by się zasłonić przeciwko wygadywaniom zagorzałych patrjotów, albo też z litości aby proletarjat literacki miał z czego żyć, albo z próżności by się okazać mecenasami. Jakiebądź więc były właściwe *osobiste* powody tego lub owego z piszących lub czytających, czy obawa złej opinji, czy zapał uczuciowy; zawsze ogólnym i publicznym powodem wspierania piśmienictwa był *patrjotyzm*, a zatem szlachetne *uczucie*.

To uczucie, to zamiłowanie narodowości było przyczyną że uznano potrzebę narodowej oświaty, że uznano potrzebę kształcenia się na zagranicznych wzorach oświeceńszych narodów, aby z tego dla siebie zbierać owoce, że się zaczęto krzątać około piśmiennictwa.

Czy ta praca przyniosła owoce?

Krzywdzilibyśmy siebie samych, gdybyśmy temu przeczyć chcieli: wszystkie kraje polskie wydały nieposzpolitych autorów, szczycą się nieposzpolitemi dziełami.

Pomimo tego niemożemy powiedzieć aby się u nas literatura stała żywiołem narodowym.

Pomimo tego niestoimy na tej stopie życia narodowego abyśmy, jak to jest u innych narodow niemogli prawie obejść się bez książek, gazet polskich (zwłaszcza w Galicji). Jeżeli mi kto chce fałsz zarzucić niech wprzód policzy ilu czytelników ma w kraju, najbardziej czytany „Czas“ Bardzo wątpię aby miał ich 2000. A jednak cokolwiek bądź powiemy o jego wartości politycznej, to już to żeby *jedyny* polityczny polski dziennik na 5 milionów mieszkańców których nasz kraj liczy, między któremi przecież przynajmniej 100,000 powinno być czytających, niemiał więcej jak jak 2000 czytelników, jest zaiste zadziwiającem zjawiskiem.

Niechcę mówić „*pro domo mea*“ bo mniej jest dziwną że kraj nieczuje potrzeby czytania pism literackich, niż nieczucie potrzeby pism politycznych, lub cale służących ku oświacie młodzieży jak *Wianki i Przyjaciel dzieci.*

Nieczynię krajowcom wyrzutu z tego że u nas więcej się rozchodzi *Journal de Demoiselles, Journal de jeunes personnes* i t. p. niż *Wianki* lub *Przyjaciel dzieci;* bo myślę że obok owych pism powinnyby jeszcze i te znaleść dość czytelników. Jeżeli tamte pisma kto trzyma dla tego aby dzieci łatwiej się uczyły cudzych języków, to myślałem że możnaby znaleść z 1000 rodzin między 30000 domów stanowiących oświeceńszą warstwę polskiego towarzystwa w kraju, któreby czuły potrzebę i miały środki trzymania dwóch jedynych i nieustępujących zagranicznym polskich pism, jedynie dla *polskiego języka,* jeżeli nie dla innej nauki, której tam nader wiele znajdą.

Może mi kto odpowie że podług zeznań pisarzy samych, podług zdań we własnem piśmie mojem głoszonych, nasze pisma nie wznoszą się nad *mierność.*

Nieodwołuję tego — bo zbyt wiele wymagam od dobrego pisma, ażebym mógł któremukolwiek z naszych przypisywać doskonałość — ale własnieby m się nie dziwił, gdyby pisma wysoko-literackie nie miały czytelników. Nie dziwię się że książek

umiejętnych polskich mało się rozchodzi, lecz wiedząc że mierne pisma, mierne książki w innych krajach mają właśnie największe koło czytających; wiedząc że tak wszędzie jest, bo największa liczba jest wszędzie miernie oświeconych — wiedząc że w naszym własnym kraju najmierniejszych francuzkich lub niemieckich tyleż albo więcej się rozchodzi co naszych: nie można się niezastanowić nad przyczynami obojętności dla krajowego piśmiennictwa u nas.

Przyczyn tych jest wiele blizko leżących, i łatwo byłoby czynić naszym krajowcom niezliczone zarzuty jako przyczyny biednego stanu literatury, łatwo byłoby i rządowi wiele winy w tém przypisać — i wszystko miałoby słuszność za sobą; lecz nam należy przyczynę zbadać nie w osobistem usposobieniu, nie w charakterze krajowców lub rządu, ale w żywotnych i dziejowych stosunkach naszych.

Skąpstwo wydania czterech, dziesięciu a choćby i stu reńskich (w stosunku do dochodów) rocznie na pisma polskie jest słusznym zarzutem; większe zajęcie tem co głośne za granicą, niż tem co w domowem zaciszu wychodzi; większe zamiłowanie „*dżokejów* (jak mówi korespondent Czasu) *psów, kart, tanecznic i t. d.*“ niż narodowej oświaty; dodajmy do tego dziedziczne lenistwo w poważniejszych pracach umysłowych, nareszcie jeszcze bardzo rozszerzony przesąd przeciw: *zarobkowaniu przez pracę literacką lub naukową i przeciwko ludziom nią się trudniącym*, zapomnienie że gospodarstwo wiejskie i przedawanie ziemiopłodów jest także zarobkowaniem i to jeszcze czysto przemysłowem rzemiosłem, zapomnienie że życie bezczynne „*en grand seigneur*“ jest upodlającem próżniactwem i jeżeli nie jest połączone z pracą pożyteczną dla ogółu, nieróżni się od żebractwa — to byłyby zarzuty słuszne ale za mało zasadnicze i niewyjaśniające właściwych przyczyn złego.

Na te błędy i wady być ślepym byłoby samo błędem; — lecz wytykać je ziomkom naszym z goryczą, ganić i karcić zato, byłoby to samo co ganić i karcić chorego za to że choruje.

Tych błędów i wad źródłem, tych przyczyn przyczyny są dwie: *brak publicznego życia i brak narodowego wykształcenia.* — To w następnym numerze bliżej wyjaśnimy.

Dziwactwo młodości.

Jakiż to dziwak co młodość całą
Osnuł bezbarwnym dumań łańcuchem,
Ni go świat nęci swym czynnym ruchem
Ani dziewczyna swą piersią białą.

Pozwólcie jemu niechaj młodzieniec
Swobodnie z dumki swemi pogwarzy,
Niech sobie rojeń uplata wieniec,
Niechaj pomarzy.

Gdy z czasem mroźny wicher pomiecie,
Chociaż rojone upadnie kwiecie,
To wieniec jego w złote owoce
Strojnie, barwnie zamigoce:

Bo już zawczasu w drobnych chłopiąt rzędzie
On duchem wyżej nad inne wypłynie,
Stara myśl jemu na czole usiędzie
Do lotu skrzydła rozwinie,
Że już młodzieńcem w burzliwe chmury
Uderzy pieśnią piorunną, wielką,
I w gwiazd orszaku zalśni u góry
Wiekowej tęczy kropelką.

A kiedy póżniej burze grobowe
Mężem go porwą, zdepcą w poniewierce,
Kiedy mu zimnem zamęcą głowę,
Ztłumią uczucie, i zwichną serce,
On w pośród wichrów, w pośród rozpaczy,
Chwilkę z swym młodym pogwarzy wiekiem,
Zamierzchłą gwiazdę znowu obaczy
I znowu będzie człowiekiem.

Temu pozwólcie, niechaj młodzieniec
Swobodnie z dumki swemi pogwarzy,
Niech sobie rojeń uplata wieniec
Niechaj pomarzy

Gdy z czasem mroźny wicher pomiecie
Chociaż rojone opadnie kwiecie,
To wieniec jego w złote owoce
Strojnie, barwnie zamigoce.

Wł. Z.

Talma i panna Desgarcins.

(Dokończenie.)

Gdy Ludwika ten ostatni wiersz mówiła, spadła jej zasłona z twarzy, a publiczność spostrzegłszy ją objawiła zadowolenie swoje głośnemi oklaski.

Ludwika zbladła, zachwiała się i padła zemdlona w moje ramiona. Matka wpadła na scenę i kazała sprowadzić pojazd do któregośmy ją zanieśli, lecz Ludwika towarzyszyć sobie nie pozwoliła. Ścisnęła mię za rękę, czego dotąd nigdy nieuczyniła i rzekła:

Zbliża się chwila w której się pan dowiesz, dla czegom zasłonę przywdziała i dla czego ją od dziś dnia na zawsze zrzucam. Bywaj zdrów kochany przyjacielu, nietroszcz się więcej o Ludwikę choć ją już może nigdy nie zobaczysz. Może jeszcze się kiedy zdybiesz z Atalidą.

Na drugi dzień poszedłem do p. Desgarcins, ale już były wyjechały, tylko córka zostawiła list do mnie:

Od wczoraj nie pojmiesz mię pan i jesteś zapewne zdziwiony wszystkiem, co od czasu naszej pierwszej znajomości zaszło. Przyrzekłam panu wyjaśnienie, winnam je dziś dać i czynię to tem łatwiej, gdy w chwili kiedy to czytasz, znajduję się daleko od pana.

Oto są po krótce dzieje mego życia.

Co się tycze mojej przyszłości, to niewiem dla czego, uznaję za rzecz zbyteczną zawiadamiać pana o niej. Zdaje mi się bowiem że będziesz w niej miał swoją rolę. Tak myślę od dzisiejszego wieczora. Jutro zrana myślę odjechać.

Mój ojciec służył trzydzieści lat w wojsku. Potém otrzymał krzyż św. Ludwika. Jednak nie był szlachcicem a niewiedział że pomimo wszelkich zasług szlachta ma przy ceremonjach pierwszeństwo przed nim. W skutku tego miał z jednym ze szlacheckich kawalerów tego orderu pojedynek, w którym tenże poległ, a mój ojciec musiał się zrzec stopnia oficera i swego orderu, i uchodzić z kraju.

Moja matka została we Francyi jeszcze przez dwa lata, poczém przeniosłyśmy się obie do mego ojca do Harlem, gdzieśmy parę lat w szczęśliwém domowem pożyciu strawiły. Tymczasem nastąpiła zmiana ministerjum. Mój ojciec został powołany do kraju i wśród rozczulających powitań na nowo postanowiony pułkownikiem swego pułku. Przypadkiem był brat owego w pojedynku zabitego pułkownikiem w tym samym pułku. Uściskali się na znak zgody, a ich pogodzenie się było hasłem do powszechnej radości.

Niestety wielka radość może być również zabijającą jak ból. Mój ojciec, który z rozczulenia zbyt wielkiego nie mógł płakać, padł bez życia w ramiona otaczających go. Ostatnie jego słowa były *córka* i *ojczyzna*...

Jakim żalem nas to zdarzenie przejęło, tego nie potrzebuję opisywać.

Jednakże nie byłyśmy zupełnie opuszczone, bo znalazłyśmy w p. *Malesherbes*, przyjacielu ojca, opiekuna dla siebie.

On przedstawił nas królowi, który nas pocieszał, a gdyśmy objawiły życzenie zacisznego pożycia, wymógł na p. *Buffon* który jako intendant królewskiego ogrodu rozrządzał niektóremi przyległemi budynkami, iż nam ten domek w którym nas odwidzałeś, na mieszkanie przeznaczył. Odtąd zaczęłyśmy spokojne i samotne życie prowadzić. Sztuki piękne były gośćmi naszemi a ja wzbogacona przez śmierć mego ojca o jedną gorzką naukę, byłam przez dwa lata zajęta tylko własnem wychowaniem.—

Pewnego dnia wróciła moja matka z wielkiem wzruszeniem z kościoła. Zapytana o przyczynę odpowiedziała mi iż widziała na mszy w kościele podrzutków młodego człowieka tak podobnego do mego ojca, że jej się zdawało jakoby tenże stał żywy przed nią w wieku 17 lat.

—Jeżeli jego wewnętrzne usposobienie, dodała, odpowiada powierzchowności, wtedy chcę go przybrać za syna.

Na drugi dzień rano pokazała mi podczas mszy tego młodego człowieka; widok jego przejął mię wzruszeniem.

Matka moja dowiadywała się u księdza o niego; ten ją zawiadomił iż to jest jedna z najszlachetniejszych istot; ojca swego nigdy nieznał, a matka umarła powierzywszy go zakładowi sierot wraz z testamentem opieczętowanym, który niemiał być otwarty jak tylko w dzień zaślubin dziecka które się nazywa Jan Marja.

We dwa dni potem zawiadomił nas ksiądz iż podczas wielkiego tygodnia miało się odbyć wieczorne nabożeństwo przy którem nasz faworyt będzie śpiewał.

Poszłyśmy tam.

Usłyszawszy głos jego zadrżałam i zdawało mi się, że teraz dopiero nauczyłam się modlić.

Od tej chwili było oglądanie tego młodzieńca rzeczywistą potrzebą dla mnie.

Moja matka która tylko mego zezwolenia czekała, wzięła go do domu i zajęłyśmy się jego wychowaniem.

Łatwo sobie pan wyobrazisz co tak poufne obcowanie we mnie obudziło i niepotrzebuję mu opisywać pierwszych wzruszeń młodego serca.

Moją matkę niemożna o żadną nieostrożność posądzać. Ona widziała naszą miłość, i uważała związek mój z Janem Marją za rzecz naturalną.

Wiedząc o tem puściłam uczuciom moim zupełnie wodze i bywały chwile gdy mię to bardzo smuciło iż przywiązanie Jana Marji do mnie niebyło tak silne, jak moje do niego. On uczuwał dla mnie tylko wdzięczność, lecz nic więcej. Słowem, ja go kochałam, a o jego miłości wątpiłam.

Lecz nareszcie nadszedł dzień gdzie oświadczenię się stało koniecznem.

Wychowanie Jana Marji postępowało szybko. Ja z mojej strony nauczyłam się ostatniej nieznanej mi dotąd rzeczy t. j. miłości i jej niepokojów.

Ksiądz z kościoła podrzutków podjął się zapytać go czy on się zgadza na związek ze mną. On uprosił sobie dwadzieścia cztery godzin do namysłu.

Możesz się pan domyślić jaką ja dałam odpowiedź na takie samo zapytanie mojej matki.

Na drugi dzień dał Jan Marja przyzwalającą odpowiedź. Lecz mój narzeczony nieokazywał ani setnej części tej radości którą ja całkiem naiwnie objawiałam. Wkrótce nastąpiły nasze zaślubiny. Tego samego dnja podczas naszego małego wesela dano Janowi Marji znać że siostra *Nicole* jest mocno chora i życzy sobie mówić z nim.

— Któżto jest ta siostra *Nicole?* zapytałam.

— Przyjaciółka, odrzekł blednięjąc, która mnie pielęgnowała gdym był chory a która mię przed śmiercią jeszcze widzieć chce.

W kilka chwil potem kazała konająca przywołać mnie i matkę moję do siebie.

Siostra *Nicole* gdy mnie ujrzała, zalała się łzami i wzięła mię za rękę.

Jan Marja modlił się klęcząc przy jej łóżku.

— Moja panno, przemówiła siostra *Nicole,* uczyń to dziecię szczęśliwem. Przed rokiem jeszcze pielęgnowałam go jak matka i mogłam nią być, bo jestem dwa razy starszą od niego. Wykonywałam dotąd obowiązki miłości bliźniego jako chrześcijanka, lecz widok tego młodego człowieka nauczył mię inaczej pojmować ową miłość. Gdym go widziała blizkim śmierci, uczułam iż go kocham inaczej jak brata, i że gdyby on umarł, musiałabym pójść za nim. Zaniosłam gorącą modlitwę do Boga do której się przyłączyło świeckie uczucie, za które on mię dzisiaj karze. Jednakże on mię wysłuchał. Jan Marja wyzdrowiał, a ja oddałam się niewiedząc co czynię, tej miłości, która była mojem życiem, a dziś est śmiercią moją. Przed dwoma dniami pytał się mię o radę względem małżeństwa z panią.

Pani, która jego kochasz, możesz pojąć com wycierpiała. Teraz umieram; lecz nim się przeniosę do Boga, chciałam panię jeszcze widzić i polecić ci skarb mojego serca. Przebacz pani że zasępiam dzień twego wesela i przyjm błogosławieństwo od tej która ci chętnie przebacza zło mimowolnie jej wyrządzone.

Przyklękłam, *Nicole* objęła moją głowę, pocałowała mię w czoło a dwie łzy spadły na moją twarz. —

„Bywaj zdrów Janie Marjo, rzekła, podając rękę młodzieńcowi, który podniosł się łkając, a przy jej łóżku zemdlał.

Jeszcześmy były wszystkie łzami zalane, gdy wszedł ksiądz z notarjuszem, gdyż nadeszła chwila otworzenia testamentu, a siostra *Nicole* życzyła sobie usłyszyć jeszcze przed śmiercią treść tegoż.

Jan Marja powstał a testament zaczęto odczytywać.

Ojciec zapisał mu dochod (rentę) tysiąca pięciuset liwrów ze swoich dóbr. Chciał ażeby jego syn nazywał się po nim Janem a po matce Marją.

Na podpisie testamentu stało nazwizko *Des Garcins.* Moja matka była jak piorunem rażona, ja padłam zemdlona w ręce kapłana.

Jan Marja był moim bratem.

Ocuciwszy się znalazłam się w łóżku, a moja matka siedziała koło mnie, opłakując moje stracone szczęście.

Siostra *Nicole* skonała z uśmiechem radości na ustach wywołanym przez wiadomość o niepodobieństwie tego związku, który był przyczyną jej śmierci.

Od tego dnia zaczęłam pluć krwią, z którego to powodu p. *Malouet* kazał nosić zasłonę przesiąkłą szafranowym roztworem. Jan Marja nie mógł przenieść na sobie tyle ciosów losu, i jego to chowano wtedy, gdyś mię pan pierwszy raz spiewającą słyszał.

Ja zaś uczyniłam ślub zastąpić w klasztorze siostr miłosierdzia siostrę *Nicole.*

Moja matka, która odgadła moją miłość do pana, i od mego zamiaru odwieść mię chciała, popierała tę miłość ile możności. —

Lecz gdy wczoraj wystąpiłam publicznie, przy tej sposobności zaświtały mi dwie myśli. Wczoraj nareszcie spadła podwójna zasłona z twarzy i z serca mojego — powzięłam stały zamiar.

Odjeżdżam aby się umocnić w jednej myśli i uciec przed drugą.

Żegnam cię mój panie! Może się jeszcze widzieć będziemy; może się rozłączamy na wieki.

Ale jeżeli Talma zapomni o Ludwice, niech sobie Bajazet przypomni Atalidę?

W pół roku po mojem pierwszem wystąpieniu na teatrze ogłoszono nowe „debut“ —

Miało to być wystąpienie damy pełnej nadziei.

To damą była p. *Desgarcins.*

Ludwika dotrzymała słowa, jej pierwsze wystąpienie było w roli *Atalidy,* tylko ja niegrałem wtedy Bajazeta.

Dnia 24 Maja 1788 wystąpiła z takim skutkiem iż jej „*debuts*“ przedłużono nad zwykły czas t. j. aż do Września.

W przeciągu tego czasu występywała z najświetniejszym skutkiem w rolach Zairy, Chimeny, Palmiry, Ifigenji i t. d.

Ludwika miała ledwie siedmnaście lat; dla tego robiono sobie największe nadzieje na nią. Jej głos porównywano z głosem panny *Gaussin;* ona niebyła piękną lecz miała coś szczególnie szlachetnego w swojej powierzchowności; wszystkie jej ruchy były naturalne i harmonijne.

Jeszcze tego samego roku przyjęli ją *les Gentilshommes de la chambre* do swego grona; było to wyszczególnienie zaiste niesłychane.

Po trzechletnim pobycie przy *Comédie française* przeszła wraz ze mną i innemi do teatru przy ulicy *Richelieu*, który został otworzony d. 27 kwietnia 1790 „*Henrykiem VIII*" *Chenier'a* Panna *Desgarcins* grała rolę Joanny Seymour, ja zaś *Henryka VIII*.

W teatrze *Rzeczypospolitej* ona utworzyła, można powiedzieć *Zulejmę w tragedji* Murville: *Abdelazis*, i i.

Pewnego dnia doniesiono nam że p. Desgarcins przebiła się trzema pchnięciami.

Pobieglismy do niej: jeszcze żyła ale była ciężko ranioną. Niewierność pewnego kochanka przywiodła ją do tego kroku.

Ten wypadek zbliżył ją do grobu. Wyzdrowiała wprawdzie lecz jedna z owych trzech ran dotknęła była płuca, wskutku czego p. Desgarcins przy każdem natężeniu krwią pluła.

Pomimo tego występywała w teatrze i byłaby może zupełnie wyzdrowiała: lecz są ludzie, na których zdaje się ciężyć od urodzenia jakieś przeklęstwo.

Jednej nocy wkradli się złodzieje do willi, którą zamieszkiwała, związali ją i jej służące, zanieśli je wszystkie do piwnicy a dom okradli zupełnie.

Dopiero we dwadzieścia cztery godzin usłyszano jęki tak uwięzionych. Uwolniono je, ale dla p. Desgarcins było już za późno. Przerażenie i zimno zniszczyło jej osłabiony organizm. Popadła w pomieszanie zmysłów i umarła około r. 1815 lub 1816.

Listy z Turcji.

Konstantynopol d. 12 Sierpnia 1850. Wiadomość w ostatnim liście moim podana co do emigracji wyjeżdżającej za granicę, jest mylna (patrz N. 31 Tygodnika Lwowskiego) bo prawie wszyscy pozostają w Turcji; wyjąwszy około 100, którzy dotychczas gwałtem upierają się jechać za granicę. Jednakże, chociaż pieniądze i protekcja narzuca się tym którzy chcą się wydalić do Ameryki, to jednak wątpię czy się kto znajdzie, ktoby tą ponętą zwabić się dał. Bo rzecz naturalna, że kto sobie w ciemnej i nieokrzesanej Turcji utrzymania znaleść niemoże, ten w światłej a przewrotnej Francji, Anglji a nawet w Ameryce pewnie z głodu umrze.

Rząd turecki postąpił sobie dziwnie z nami, bo mając tyle zachodu z innemi mocarstwy o wydanie nas, nie wydał a nawet niechętnie uważał tych, którzy sobie życzyli powrotu do kraju, zapewniając przez swych urzędników o świetnej przyszłości, jeżeli pozostaniemy w Turcji. Dziś nietylko że obietnic niedotrzymał, ale nawet, niewięm z jakiej przyczyny zobojętniał dla nas. Zaliczywszy, każdemu po 250 piastrów odczepnego, co zaledwie na podróż z Szumli do Stambułu wystarczyło, pozwolił nam rozpierzchnąć się po kraju. Jest i to na Turcję czyn szlachetny bo niemiała do tego żadnego obowiązku i narażała się jeszcze na nieprzyjemności, ale wyrachowania w tém niebyło, chyba na zgubę naszą. Bo łatwo było przewidzieć że emigranci nasi, po większej części młodzież szkolna, nieusposobiona do niczego nawet do rzemiosła, nieznająca języka tutejszego i bez wszelkiej protekcji może z nędzy i głodu dopuścić się najhaniebniejszych czynów. Nasza wiara niesplamiła się jeszcze żadnym haniebnym krokiem, bierze się nawet do najpośledniejszych zatrudnień, mularki, młota, szewstwa, stolarstwa i t. p. a gdy im u mularza lub innego rzemieślnika roboty braknie, improwizują pierwsze lepsze rzemiosło gdziekolwiek co nadybią, a tak niektorzy poduczywszy się trochę pobierają płatę, z której dość przyzwoicie żyć mogą.

Niezawodnie, bieda nasza jest wielka, ale niecierpliwość jeszcze większa. Jedni chodzą z prożbami do Ambasadora austrj. o amnestję, drudzy czekają na nią by powrócić do kraju, inni zamyślają nieczekać amnestji i powrócić zdając się na łaskę lub niełaskę.

— *13. Sierpnia.* Otoż wmiejsce spodziewanej amnestji przyszło rozporządzenie wydawania paszportów, do powrotu. Ambasador zaręcza iż każdy może wracać bezkarnie, jednakże będzie się musiał poddać postępowaniu *puryfikacijnemu*. Wielki ruch między naszemi, każdy chce powrócić, tylko pieniędzy niemają. —

Konstantynopol 17. Sierpnia 1850. Węgrzy i niektórzy z naszych, którzy z namysłem przeszli na Izlam doznają teraz niezawodnie bolesnych uczuć. . . ze strony Turków panuje względem nich wielka nieufność, i mszczą się na renegatach okropnie za lada podejrzeniem sprzeniewierzenia się. Temi dniami znaleziono w Bosforze nad Czarnem morzem, gdzie nad brzegami same tylko forteczki i koszary wojskowe stoją, siedmiu czy ośmiu obnażonych i razem jak snop związanych ludzi. Mówiono jakoby ci ludzie mieli być z emigracji, ale my się tu wszyscy znamy i żadnego z nas niebrakuje o którymbyśmy niewiedzieli gdzie się znajduje. Musieli to być renegaci; w tem mniemaniu utwierdza nas to, iż nas ostrzegano aby nawet nie mówić o tym wypadku; po drugie, że z tych niewielu renegatów, którzy pozostali w Stambule (resztę odesłano do różnych pułków w głąb Azji) i którzy się całemi dniami po wszystkich kątach włóczyli, dziś niewidać ani jednego. Zresztą podobne wypadki nie są tu niczem nadzwyczajnem; za sprzeniewierzenie się każdą kobietę, choćby najpiękniejszą z całego Seraju zawiązują w worek i rzucają (tyle co francuzkie *marche*) nocą do Bosforu.

Jak wszystko tu dzikie, proste i obrzydliwe, tak i po-

żywienie. Żaby, ślimaki, robaki *), wszystko to w skorupach gotowane w ryżu jest tu najgłówniejszem jadłem gotowanem; jarzyny dziwnego kształtu i smaku, np. arbuzy, dwa łokcie długości, w kształcie grubego kija; artyczoki, podobne do naszych wielkich bodjaków, wielkości słoneczników i t. p. Te jarzyny bywają krajane i duszone albo w samej baraniej tłustości lub też z baraniną, tym samym sposobem przyprawiają cebulę; na pieczeń cały baran z głową tylko ze skóry odarty, pieczony w piecu piekarskim, lub rybki smażone w oliwie. Innych potraw nie opisuję, bo trudno dociec ich części składowych, lecz za to obrzydliwsze — np. flaczki zaprawne różnemi korzeniami. Do wszystkiego jadają bardzo wiele placków gorących; pomidory surowe z chlebem, ogórki także surowe, gotowaną kukurudzę, obwarzanki, groch parzony z rozynkami i różne inne rzeczy na desert; prócz tego po całych dniach przy czarnej kawie i *nargili* (fajka szklanna gdzie dym przez wodę przechodzi) jedzą kawony, melony i winogrona. Na Perze są dwa rodzaje *table d'hôte,* przy jednej kosztuje obiad dukata, przy drugiej obiad złożony z rosołu, mięsa, ryżu lub włoskiego makaronu, pieczeni najczęściej baraniej lub cuchnącej potrawki i flaszki wina sześć piastrów. Ten ostatni jest jak na Stambuł cale tani.

Dzis 18. Sierpnia zakończył *Karol Zarzycki* (o którym z gazet wiecie bliższe szczegóły) nagle zycie na Czyfliku (kolonji ks. A. Czartoryskiego).

*) Zapewne tak zwane *Frutti maritini.*

Rozmaitości.

Biesiada słowiańska w Wiedniu. Dnia 3. Września t. r. odbyła się jak zwykle co roku tak zwana biesiada słowiańska, t. j. zgromadzenie Słowian wszelkich plemion, Tęż rozpoczęła pani Wostrzebalowa wierszem ułożonym przez p. Furcha, którego treść zamieszczamy w przekładzie.

Po odegraniu *adagio* Mozarta przez dzieci *Srdinka* wygłosił p. *Legat* pieśń ruską „*Sołowiej*" i drugą „*Znaszli?*" p. *Ander* Morawianin spiewał kilka ulobionych czeskich pieśni a ponim deklamował p. *Dawison* artysta dramatyczny wiedeńskiego nadwornego teatru *po polsku Dzwon* Szyllera (J. N. Kamińskiego tłumaczenie) i jedną z ballad Mickiewicza. „*Videński Dennik*" wspominając o nim mówi: Byliśmy Czechosłowianie dumni na to że p. Andra naszym zwać możemy, ale gdyśmy uszłyszeli p. Dawisona, przejęła nas znowu tęsknota, abyśmy się takim mistrzem w sztuce dramatycznej, ktory zaiste braciom Polakom narodową chlubę przynosi, szczycić mogli. Potem spiewała p. *Beuter*, grał p. *Laube* (Czech), spiewał chór słowiańskie pieśni, nakoniec odegrała kapela pułku królewicza pruskiego pod przewodnictwem kapelmistrza p. Budyńskiego między innemi *Krakowiaka* ułożonego przez kapelmistrza, który powszechną pozyskał pochwałę.

Przekład wierszy p. Furcha

deklamowanych po czesku na słowiańskiej biesadzie w Wiedniu. *)

I.

Tęcza wzejszła już nad Austrją,
Już zamilczał broni szczęk;
Lecz jakby ku nowej bitwie
Wzywa straszny dzwonów jęk —
Jakoby na miejskie baszty
Wróg natłokiem gnał —
Dzwony bijąc z wszystkich wież
Przelękniony lud wzywają. —

II.

Ej to Kraków owładnęło
Ramię płomienne zwycięzcy,
Spieszny wicher oskrzydlony
Wnet się połączył z płomieniem,
A co po długich stuleciach
Z ciężką pracą wystawiono,
Teraz w jednem okamgnieniu
W proch i popiół zamienione.

III.

Jakoby z popiołów był
Fenix ubłagany powstał,
Nad pożarem orzeł biały
Skrzydła swe rozpostarł —
Orzeł biały się unosi
Nad walącem się już miastem
Nad mogiłą polskich królów
Nad Krakowem gorejącym.

IV.

Pod Krakowem płynie rzeka
Gruzy jego całująca
Wisła, drużka mnogowieka
Żalem k'niemu szumi
W niej to niegdyś się zwierciedlił
Kraków w swojej dumie —
Kiedy jeszcze był stolicą
Wielkiej polskiej rzeszy.

V.

Zajęczała — zapłakała
Jak szeroka polska ziemia
A z Polakiem każdy z Słowian
Prawy, gorzko też boleje —
Bośmy jemu bracia, siostry —
Bośmy jedna z nim rodzina;
Ciężki żal ojczyzny Polski
Dzieli nasza też kraina.

*) Przekład ten uczyniliśmy ile możności dosłownym dla okazania jak blizkie są te dwa języki: *polski i czeski*, i dla zachowania właściwości oryginału. Przeto zaniedbaliśmy rym, który tam się znajduje w 2. 4. 7. i 8 wierszu każdej zwrotki; reszta jest i w oryginale nierymowana.

VI.

Jeszcze z żalu nad Krakowem
Serce drga boleścią —
A już w naszej czeskiej ziemi
Dzwon na postrach głosi:
Starożytne miasto Chrudim
Znane w czeskich dziejach
Pochłonione strasznym ogniem
Leży także w gruzach

VII.

Lecz nie ze łzawego oka
Tylko z czynnej ręki wzejdzie
Nam błogosławieństwo —
Jeszcze naszych dni nie koniec—
Lecz wspierajmy się wzajemnie
I kochajmy się pospołu —
A gdy miłość będzie czynna
To i lepszy czas nastanie.

VIII.

Dzisiaj tej miłości czynnej
Tu dajemy dowód,
Oto cegły do wzniesienia
Nowych miast składamy —
Z gruzów i popiołów
Kraków, Chrudim znów powstanie.
Tak się dźwigną znów ku sławie
Czesi i Polanie. (Vid. Den.)

TEATR.

Dnia 2. września otwartą została scena polska po dłuższej przerwie najprzód komedyjką: Indjana i Charlemagne, poczem dano nową sztukę »*Kwestarka na Pogorzelców Krakowa,*» napisaną przez pana Ładnowskiego. Zgadzamy się chętnię z feletonistą »Gazety lwowskiej» na idealność tej kwestarski, i również nie przemilczymy oklasków z jakiemi nieliczna publiczność przyjęła ten utwor. Zakończono zabawę tego wieczora komedją »Chłopi arystokraci» Widocznie staranna gra wszystkich w ogólności artystów a mianowicie wyborna i urozmaicona p. *Radzyńskiej* dała nam o tem łatwo zapomnieć, że się »*Chłopi*» tak często powtarzają. Samo tylko zakończenie widowiska sprawiło dość przykre wrażenie, chociaż bez winy artystów, a głównie z powodu pustek w teatrze. Wina-to publiczności *nieobecnej,* którą ze sceny musiano zapraszać przez pośrednictwo widzów obecnych. Gdzież się podziała publiczność polska, co miała powitać otworzenie sceny polskiej, a licznem zebraniem się okazać żywy swój udział dla narodowego instytutu?

Drugie przedstawienie w nowo rozpoczętym kursie teatru polskiego było: *Córki na wydaniu.* Sztuka tak zw. konwersacijna t. j. z towarzyskiego pożycia chwycona, a zwłaszcza z pożycia klassy urzędników publicznych.

Sztuka sama nie ma w sobie nic nadzwyczajnego i w stosunkach nawet niewiele komiki. — Cała jej komika zależy na prawdziwem oddaniu właściwości osób w nią wcho dzących. Rzecz ta jak się wydaje być prostą i łatwą, wiemy jednak bardzo dobrze iż tylko prawdziwie dramatycznym talentom się udaje. Taki talent musimy przypisać Autorowi z tego względu, że nie przesadził ani też nie nudzi drob iazgowem malowaniem wszelkich powszedniości.

To samo co o autorze, należy powiedzieć o aktorach. Przekonaliśmy się iż nasi artyści są najbardziej usposobienie do sztuk z pożycia domowego wziętych. *p. Rudkiewicz* niezostawił jako radzca obrachunkowy i chciwy zięciów ojciec również nic do życzenia, jak *p. Łozińska* jako także głodna zięciów radczyni, a *p. Pollak* jako zwyczajnie rozkochana panna, *p. Szuszkiewicz* jako raźna i przedsiębiorcza a przytem kochająca siostra, *p. Radowska* jako nieodrodna córka radcy obrachunkowego, geniusz familijny, bo w rachunkowości wyrównywa swemu ojcu; *pp. Rejmers, Jankowski, i Łozinski,* jako rozmaitych usposobień kochankowie, grali w swoim rodzaju bardzo dobrze.

Trzy role najwięcej wybitne są w tej sztuce: *radzca obrachunkowy; córka-rachmistrz* którą *p. Radowska* bardzo dobrze odegrała, gdyż cały układ i gesta były tak z życia chwycone że zdawaliśmy się widzić przed sobą jeden z tych niewielu oryginałów panny-pedantki; i głupkowaty praktykant którego *p. Łoziński* bardzo naturalnie oddał, lecz przez to właśnie że nie uczynił z niego karykatury czego znać autor wymaga, stał się przy egzaminie trochę nudnym. — Ta rola wymaga skończonego komika.

Druga sztuka — Wesele na Podgórzu — niezadowolniła nas tyle. Bądź to że wprowadzenie zaraz na początku pijaczki która więcej obrzydzenia niż śmiechu wzbudziła uprzedziło nas przeciw reszcie, bądź że cała sztuka wyrachowana na zajęcie zmysłu więcej niż umysłu straciła przez brak pięknych tańców i śpiewów — słowem, pomimo tego że niemożemy odmówić jej ani bardzo chwalebnej dążności ani rzewności, musimy w *sztuce* ganić trywialność i płaskość wrolach młynarki, matki i żyda, a *wyprzedstawieniu* zaniedbanie. —

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem pospiesznej E. Winiarza we Lwowie przy ulicy krakowskiej pod l. 77.